

Zapraszamy na drugą część rozdziału GÓRA PRZEKŁĘTA.

Nasza baza staje na wysokości 3600 metrów. Od podnóża góry jest oddalona może o kilometr. Widzimy stąd prawie całą ścianę, giną jedynie jej górne partie.

Namioty rozstawiamy na ziemi, a nie na lodowcu, wokół rośnie soczysta zielona trawa i krzewy, a tuż obok przepływa strumień, czysty i chłodny. Wieczorami można rozpałać ognisko. Płonie w nim drewno, którego jest sporo wokół obozu. Co wieczór wzrusza mnie ten niezwykle kontrast – śnieżny olbrzym i małe ognie u jego stóp.

To wspaniałe położenie ma również jednak minusy. W czasie akcji górskiej konieczna będzie większa liczba obozów, między którymi będą duże odległości. Po zapłaceniu tragarzom odprawiamy karawanę. Nie zostajemy jednak sami, jesteśmy bowiem tak blisko wiosek, że wciąż pojawiają się ciekawscy pasterze baranów pasących się nie opodal. Ale najczęstszymi gośćmi są dzieci. Trochę niepokojące są te wizyty, obawiamy się o nasz dobytek, który na czas akcji górskiej zostanie bez opieki. Na szczęście mamy gospodarza bazy. Jest nim kierowca ciężarówki – Willy. Obowiązki swe pełni z talentem i skutecznie.

Mathias Gradnitzer planuje założenie obozu I aż 1600 metrów powyżej bazy, w miejscu obozu Austriaków. Po raz pierwszy jestem na wyprawie, gdzie obóz I jest tak bardzo oddalony od bazy. Pierwsze podejście zajmuje dużo czasu, później podchodzimy szybciej. Z ładunkiem w trzy godziny osiągamy obóz I i jeszcze tego samego dnia schodzimy. Podejście jest stosunkowo łatwe, prawie jak na Rysy, jedynie dwukrotnie dłuższe.

Akcji górskiej mieliśmy niewiele, zaledwie tydzień. W tym czasie założyliśmy obozy I i II. Wychodziłam do góry pięć razy i w sumie razem z Jaśkiem osiągnęłam 9000 metrów przewyższenia, czyli tyle, ile przy wchodzeniu na Everest wraz z całą akcją aklimatyzacyjną.

Po powrotach z obozu I do bazy, najczęściej tego samego dnia, popołudnia mamy dla siebie. Można zrobić pranie, ugotować coś dobrego, przygotować rze-

czy na wyjście następnego dnia lub w spokoju popatrzeć na górę. Fascynowała mnie swoim pięknem, ale wciąż pamiętałam tragiczne dzieje jej zdobywania.

W wyjściach do obozu I towarzyszą mi przeważnie Duśka i Jasiek. Nasz lekarz zdobył sympatię uczestników wyprawy. W czasie domarszu bardzo troskliwie zajmował się chorymi. W mijanych wioskach wykonał też kilka operacji. Dla ich mieszkańców przemarsz karawany to jedyna okazja do korzystania z pomocy lekarskiej. Jasiek nie miał w sobie obojętności cechującej niekiedy wyprawowych lekarzy, dla których sytuacją zwracającą uwagę jest dopiero konieczność odcięcia nogi, a co najmniej palca. Takie drobiazgi, jak nogi w pęcherzach, biegunka czy bóle głowy, to przypadki, którymi nie warto się przejmować.

Podejście do Jedyńki jest wspaniałe. Długi czas idziemy zboczem moreny porośniętej niskopiennym, skarłowaciałym lasem, rosną tu kwiaty i wrzos. Później las rzadnie, zostaje tylko wysuszona trawa. Dalej jest już teren najlepiej znany alpinistom – kamienie, lód i śnieg.

Powyżej obozu I znajduje się kluczowy, trudny odcinek – bardzo stromy, wymagający już wspinaczki. Po linach poręczowych, zostawionych jakoby przez Austriaków, nie ma śladu.

26 września z obozu I wyruszają Werner Haim, Sebastian Arnold i Herbert Holzmaier. Mają założyć poręczówki i obóz II. Nasza trójka rusza z bazy do obozu I. Rozzuchwaleni tym, że podejście zajmowało zazwyczaj mało czasu, wychodzimy z bazy bardzo późno, zapominając o tym, że tym razem niesiemy bardzo ciężkie plecaki. Wyruszyliśmy o piętnastej, ale o osiemnastej jesteśmy dopiero w połowie drogi. Zmierzch zapadał godzinę później.

Podczas podejścia z trzydziestokilogramowym plecakiem wyraźnie słabnę. Nie ma co iść dalej. Ale biwak? To prawie kompromitacja. Cholerne plecaki!

Nazajutrz z nową energią ruszamy do obozu I. Docieramy do niego po dwóch godzinach. Patrzę na trudny uskok skalny o ponadtrzystumetrowej wysokości. Powyżej teren jest łatwiejszy, stromy śnieg poprzątykany skalkami.

Godzina dziewiąta. Na krawędzi uskoku nagle pojawia się sylwetka ludzka. Poznaje Wernera Haima. Dzieli nas niewielka odległość, pozwalająca zrozumieć jego krzyk:

– Arnold spadł!...

Z niewypakowanym ciężkim plecakiem, by nie tracić czasu na poszukiwanie apteczki, zbiegam stokiem śnieżnym w stronę różowo-czerwonej rynn, wyżło-

bionej spadającym ciałem. Dotarliśmy z Jaśkiem do niego w 20 minut po okrzyku Wenera. Z trudem patrzyłam na to, co zostało z Arnolda. Ciało powyginane w różnych kierunkach, nogi i ręce sterczące pod nieprawdopodobnym kątem. Najgorsza była twarz – wyraźna, rozpoznawalna, choć z tyłu głowy niewiele pozostało. Usta otwarte do krzyku, oczy z zastygłym przerażeniem patrzące w niebo. Jasiek stwierdził zgon. Nic już nie możemy zrobić. Pozostaje tylko zabezpieczyć ciało przed zepchnięciem w dół przez kamienną lawinę. Później je pochowamy.

Rąbimy półkę w lodzie. Zajmuje to sporo czasu, ale najgorsze przed nami – przeciągnięcie Arnolda na półkę. Nie przypuszczałam, że martwe ciało waży tak wiele. Staralam się nie patrzeć, nie zastanawiać się nad tym, co robię. Na półce ciało przywiązaliśmy do śrub wkręconych w lód i otuliliśmy je płachtą.

Wróciliśmy do obozu I, gdzie zastaliśmy już Wenera. Mimo szoku potrafił samotnie pokonać w zejściu trudny uskoc. Opowiedział nam przebieg wypadku. Okazał się bardzo typowy – wystarczyła chwila nieuwagi. Schodzili już do obozu I i znajdowali się w nietrudnym terenie. Werner przysiadł na chwilę, by odpocząć. Spoglądał na nadchodzącego jego śladami Arnolda, który prawie doszedł do niego. Dzielilo ich zaledwie kilka metrów. Arnold akurat rozpinął kask, kiedy stracił równowagę. Nie wiadomo dlaczego, czy zahaczył rakiem o rak, czy pośliznął się? Zamachał tylko rękami, chcąc złapać równowagę, ale już nie zdołał jej utrzymać. Spadł z około dziesięciometrowego uskoku, znajdującego się poniżej miejsca, w którym siedział Werner. Ten pierwszy upadek odebrał mu jakiegokolwiek szanse ratunku, gdyż stracił wówczas przytomność. Następne 300 metrów zsuwał się bezwładnie w łatwym terenie. Doświadczony alpinista, jeśli nie straci przytomności, w takim miejscu może jeszcze się uratować. Ale los nieprzytomnego Sebastiana był przesądzony. Kiedy osunął się do krawędzi wielkiego, trzystumetrowego uskoku, nie miał najmniejszych szans – przerzuciło go przez krawędź. Objijając się o skały, spadał, aż zatrzymał się z małą lawiną śnieżną 100 metrów poniżej obozu I. Tam go znaleźliśmy.

Po wysłuchaniu relacji Wenera zawiadomiliśmy bazę. Mathias Gradnitzer i inni uczestnicy doszli do nas po południu. Mathias był załamany:

– To już koniec – mamrotał – nie zdobędziemy tej przeklętej góry...

Zaproponowałam, by w obozie I nie dyskutować o dalszych losach wyprawy. Jeszcze tego samego dnia zeszliśmy do bazy. Jednak dyskusja rozpoczęła się tego sa-

mego wieczoru. Byłam przeciwna zastanawianiu się nad dalszą akcją, powinniśmy raczej dyskutować, co zrobić z ciałem Arnolda. Należało się otrząsnąć, decyzje podjąć na spokojnie. Podczas dyskusji Austriacy – Gradnitzer i Haim – powiedzieli, że nie będą dalej uczestniczyć w akcji górskiej i rezygnują z wyprawy. Było ich trzech, a po śmierci Arnolda zespół przestał istnieć. Solidarnie przyłączyli się do nich Niemcy.

Ten, który zginął, chciał wejść na szczyt. I zapewne nie chciałby, aby jego śmierć uniemożliwiła innym osiągnięcie tego celu. Myślałam tak, być może dlatego, że nie zdążyłam zaprzyjaźnić się z Sebastianem, nie stał się jeszcze dla mnie towarzyszem liny, nie łączyły nas wcześniejsze wspinaczki.

Ponieważ Austriacy i Niemcy postanowili nie kontynuować akcji, grupa polska musiała również zrezygnować. Dalsze działania były podejmowane już pod kątem likwidacji wyprawy. Ustaliliśmy, że raz jeszcze podejmiemy do góry, pochowamy Arnolda, a jeden zespół zlikwiduje obóz II.

Transport ciała Arnolda na dół okazał się zbyt niebezpieczny, pozostawiliśmy go więc na tej samej wysokości, ale na zboczu śnieżnym, nienarazanym na lawiny. Dokopaliśmy się do piargu. Mathias, Willy i Janek pracowali ubezpieczeni stumetrową liną opuszczoną z obozu I. Herbert i ja asekurowaliśmy akcję. Grób wykopany w piargu był bardzo płytki. Owinęliśmy ciało Arnolda w srebrną folię i złożyliśmy je w półmetrowej jamie. Najtrudniejszą chwilą było przysypanie go kamieniami, a potem śniegiem. Na miejscu spoczynku Arnolda pozostawiliśmy krzyż, czekan i kask. Pozostaliśmy chwilę, odmówiliśmy modlitwę i wróciliśmy do obozu I.

Nazajutrz ktoś musiał wyjść do obozu II. Chętnych nie było. W końcu znaleźli się – Willy, Janek i ja. Podchodziliśmy, wykorzystując częściowo poręczówki założone przez Arnolda i Wernera. Na trudnym uskoku była już wspinaczka w skali tatrzańskiej do „piątki”, gdzieś tam za pomocą poręczówek. Wspinaliśmy się na lekko, więc wcześniej dotarliśmy do obozu II. Zamiast jednak schodzić od razu, po spakowaniu pozostawionych przez Wernera i Sebastiana rzeczy, pozostaliśmy dłużej. Nasze wyjście było jednocześnie pożegnaniem z górą, pożegnaniem niespełnionych nadziei. Siedzieliśmy długo, wygrzewając się w słońcu, nieświadomi, że „góra przeklęta” pożegna się z nami na swój sposób.

Po południu pogoda zaczęła się pogarszać z minuty na minutę. Nim zdążyliśmy się zebrać, zerwał się wiatr, a padający śnieg przysłonił świat. Dopiero teraz

uświadomiliśmy sobie, że przed trzema dniami tą samą drogą schodził Sebastian. Załamanie pogody sprawiło, że poczuliśmy się wciągnięci w pułapkę, pewni, że niezadługo przyjdzie nam walczyć o życie.

Schodziliśmy ostrożnie, jak nigdy dotąd, asekurując się do przesady. W bazie przez cały czas był na nasłuchu Mathias, a w obozie I czekał Herbert. Później Mathias opowiedział mi, jak przestraszony nagłą zmianą pogody Herbert zaczął przez radiotelefon płakać:

– Co mam robić, pada śnieg, zadymka, jestem sam! Jak mam zejść? – histeryzował.

Zdziwiło mnie to, przecież to my w górze musieliśmy uporać się z zejściem, a wycofywanie się z obozu I nie przedstawiało żadnych trudności. Herbert w panice nie bał się o nas, tylko o siebie. Mathias przez ten czas chyba bliski był szaleństwa.

Udało nam się jednak pokonać uskok i dojść do obozu I. Nocleg nie był spokojny. Byliśmy pod wrażeniem niedawnego pogrzebu, jak też drogi, która dla Sebastiana okazała się ostatnią, a którą niedawno szczęśliwie przeszliśmy. Mimo że byliśmy sami w górach, słyszałam nawoływania, gwizdy, metalowy brzęk. Truchlałam ze strachu. Zaczęłam odmawiać modlitwę za umarłych.

Rankiem zobaczyliśmy, że pozostawione przed namiotem rzeczy, zwłaszcza jedzenie, były porozciągane. Okazało się, że to świstaki i małe lisy niepokoiły nas przez całą noc.

Załadowaliśmy do plecaków tyle, ile mogliśmy unieść i rozpoczęliśmy schodzenie. W bazie panowała lekka psychoza strachu, nawet dojście do obozu I wydawało się ryzykiem. Z trudem udało nam się namówić pozostałych uczestników do całkowitego zlikwidowania obozu I. Ci, którzy nie poszli w górę, przygotowywali symboliczny grób Sebastiana, gdyż ten wysokogórski zapewne niedługo potrwa – zasypią go lawiny, kamienie... Znaleźliśmy duży, piękny głaz, na którym wyryto imię, nazwisko i datę śmierci. Symboliczny pogrzeb odbył się następnego dnia. Tak zakończyło się zdobywanie „góry przeklętej”.

3 października wyruszyliśmy z bazy w dół. Koniec wyprawy tak wspaniale zapowiadającej się, a tak smutnie zakończonej. Absurdalnie przypadkowa śmierć zmieniła wszystkie plany.

Po kilku dniach koledzy trochę żalowali, że tak pochopnie podjęli decyzję odwrotu. Do śmierci w górach jesteśmy przyzwyczajeni, w każdym z nas bowiem

gdzieś głęboko tkwi myśl, że i mnie może ona dosięgnąć. Choć tak naprawdę nikt w to nie wierzy – w górach zawsze giną inni.

W tydzień po śmierci Arnolda być może zostaliby i prowadzili akcję nadal. Mathias, jako kierownik, zbyt szybko podjął decyzję odwrotu. Może nie wierzył w sukces i było to rozsądne posunięcie. Śmierć Arnolda znacznie uszczupliła siły wyprawy. Z młodych uczestników, takich jak płaczący ze strachu Herbert, wysoko nie byłoby zbytniej pociechy. Tylko Haim zdecydowanie nie chciał wchodzić – przyjaźnił się z Arnoldem i jego stanowisko było jednoznaczne: „Mój przyjaciel nie wszedł na szczyt, to ja też nie pójdę”.

Jeszcze w bazie postanowiliśmy, że podczas powrotu polska grupa spróbuje wchodzić na inny szczyt. Miał to być Haramosh (7397 m) leżący o dzień drogi od Indusu, wzdłuż którego mieliśmy jechać do Skardu.

Pakując w bazie sprzęt i żywność, oddzielamy część ładunków na akcję górską naszej grupy. Duśka, która w górach zwykle jest twarda i odporna, teraz oklapła. Może śmierć Arnolda sprawiła, że zatęskniła za mężem i domem, tymi wszystkimi sprawami, które są bliskie i bezpieczne. Zostaliśmy więc we dwójkę – Jasiek i ja. Ciągłe jeszcze z niedosytem gór, zdecydowani nawet w dwuosobowym zespole wchodzić na Haramosh.

W Rampur dwa dni oczekujemy na jeepy. Chcemy wysłać telegramy: do Herrligkoffera – zawiadamiający o śmierci Arnolda i przerwaniu wyprawy oraz do Tourism Division – z prośbą o zgodę na wejście na Haramosh. Trzeba jednak w jakiś sposób dotrzeć do wioski Astor, gdzie jest najbliższa poczta. W tym celu oficer łącznikowy i ja dostaliśmy konie pod wierzch. Na szczęście dla mnie lepszego i ambitniejszego dostał Mahmud. Wiedziałam mniej więcej, z której strony należy dosiadać konia i jak trzymać wodze, ale to było wszystko, co umiałam.

Od Astor dzieliło nas około 25 kilometrów. I tyle trwał wyścig koni. Droga była wystarczająco szeroka dla jednego jeepa, ale dwa konie, galopujące prawie bez przerwy leb w leb, mieściły się na niej z trudem. Pod koniec jazdy nie miałam siły siedzieć w siodle, stałam więc tylko w strzemionach. Obawa, by koń Mahmuda nie zepchnął mojego w przepaść, i ciąгла uwaga, by nie trzasnąć głową o występ skalny, potęgowały emocje. Galopując na czele chmury pyłu, wpadaliśmy do wiosek, gdzie dzieci, psy i kury umykały spod kopyt na wszystkie strony. Po kilkudziesięciu kilometrach droga zaczęła wznosić się i do Astor przybyliśmy w wolniejszym tempie. Konie nareszcie się zmęczyły.

Wysłaliśmy telegramy, u miejscowego nauczyciela wypiliśmy herbatę, poczęstowano nas też ciapatami i morelami. Droga powrotna znów była próbą szybkości dla naszych ambitnych wierzchowców. Wypoczęte, ze zdwojoną energią rozpoczęły wyścigi. W Rampur, po zejściu z konia, z trudem dotarłam do namiotu.

Powrót do Skardu przebiegał spokojnie. Skróciliśmy sobie nawet drogę – wyjechaliśmy skoro świt i chyłkiem przejechaliśmy Karakorum Highway, dzięki czemu nie musieliśmy wracać przez przełęcz Chilim Choki. Do Skardu wracaliśmy wzdłuż Indusu.

Z powodu przebudowy drogi tydzień czekaliśmy w Bundji, aż będzie można przejechać.

Odpowiedzi z Tourism Division nie doczekaliśmy się. Zrezygnowaliśmy więc z Jaśkiem z odłączenia się od reszty wyprawy. Kiedy powiedzieliśmy kolegom, że nie idziemy na Haramosh, nasze oświadczenie przyjęto w nieoczekiwany sposób – wszyscy rzucili się w stronę ładunków, w których była odłożona dla nas żywność. Nastąpiło wielkie żarcie. Okazało się, że nasi koledzy – wiedząc, że za kilka dni znajdą się w Islamabadzie – zostawili sobie na powrót gorszą żywność. Teraz nie żalowaliśmy sobie niczego – pysznych kompotów, słodczyz, wymyślnych gotowych dań.

W Islamabadzie na Duškę czekał telegram: *Wracaj natychmiast. Rodzice.* I żadnych wyjaśnień. W Duškę jakby grom strzelił. Przypuszczała wszystko co najgorsze: „Na pewno coś złego przytrafiło się Zbyszkowi w górach”... Wyrwała się z Islamabadu, jak najszybciej chciała być w Polsce. Mamy jeden awaryjny bilet lotniczy z Kabulu, który przeznaczamy, oczywiście, dla niej. Ale jak dostać się najszybciej do Kabulu? Nie może przecież pojechać sama. Rozumiejąc powagę sytuacji i chcąc pomóc Dušce, zaraz po przybyciu do Islamabadu rozliczam wyprawę, wydaję ostatnie dyspozycje; wszystko w wielkim pośpiechu. Jeszcze tego samego dnia ostatnie wizyty, zdanie relacji z przebiegu wyprawy w Tourism Division, niezbędne zakupy, przygotowanie samochodu.

Wieczorem jesteśmy gotowi. Nie ma mowy o spaniu, jest trójka kierowców, będziemy więc prowadzić na zmianę. Pożegnanie z kolegami jest smutne, mam wyrzuty sumienia, że zostawiam wyprawę. Nie mamy żywności na drogę, gdyż nie było już czasu, by przepakować bagaże. Umawiamy się, że w Kabulu będziemy czekać na samochód wyprawy i zabierzemy pieniądze oraz żywność na dalszą podróż do Polski.

Pomimo ciemności, ludzi pieszych i na rowerach, była pętającego się na drodze, jedziemy możliwie najszybciej. Niedaleko Taksili pierwszy pech – łapiemy gumę. Szybka zmiana koła i... po kilkunastu kilometrach następna guma. Głęboka noc, do osiedli daleko. Jasiek zatrzymuje jakąś ciężarówkę i zabiera się razem z kołem, mając nadzieję naprawić je w najbliższej miejscowości. Zostajemy same. Trochę boimy się. Po kilkunastu minutach zatrzymuje się przy nas osobowy fiat. Kierowca zachowuje się jednak zupełnie inaczej, niż się tego obawialiśmy. Ofiarowuje pomoc – zostanie z nami do powrotu Jaśka. Był to bardzo sympatyczny gest gospodarza kraju, dbającego, by jego gościom nie przydarzyło się nic złego.

Przez trzy godziny rozmawiamy. Opowiadamy o Polsce, o wyprawie, a nasz opiekun o swej pracy – jest urzędnikiem państwowym – o swoim kraju. Wraca Jasiek z naprawionym kołem. Żegnamy się serdecznie i ruszamy dalej.

Zbliżamy się do Peszawaru. Przejazd przez miasto jest skomplikowany. Choć ulice nocą puste, mamy trudności z odczytywaniem źle widocznych drogowskazów, w większości wypisanych w języku urdu. Próbujemy zapytać o drogę jakiegoś starszego mężczyznę w turbanie. Patrzy na nas niezyciwiście, wręcz groźnie, ale wreszcie wskazuje kierunek na Khyber. Sześćdziesiąt kilometrów za Peszawarem powoli rozwidnia się. Ze zdziwieniem zwracam się do Jaśka:

– Słuchaj, to dziwne, dwa razy mijamy taki sam most – wiszący, z wąskim przejazdem, ograniczenie szybkości do 30 km na godzinę!

Przypatrujemy się dokładniej drogowskazom. Psiakrew! Przecież jedziemy z powrotem do Islamabadu! W ten sposób nadłożyliśmy ponad 120 km. Wścikli zawracamy. Dziś odlatuje samolot z Kabulu do Moskwy, więc już nie zdążymy. Jedziemy teraz spokojniej, trochę jeszcze źli, że tak nas wystrychnięto na dudków. Duśka też jakby się uspokoiła i pogodziła z faktem, że dziś nie odleci.

Dość pewnie czuję się już w roli kierowcy. Ktoś, kto ustanawiał w Pakistanie przepisy drogowe, prawdopodobnie nie bardzo wierzył w to, że będą przestrzegane. Wymyślono więc różne *speed breakery*, czyli wymuszone ograniczniki szybkości. Na przykład przed skrzyżowaniem nawierzchnia jest tak pofałdowana, że nie sposób przejechać szybko, żeby nie zniszczyć samochodu. Trzeba zwolnić. Podobnie na serpentynach – zamiast linii środkowej widnieje wbudowany w szosę rząd kilkunastocentymetrowych, ostrych kamieni, co zdecydowanie powstrzymuje kierowców od ścinania zakrętów.

Przed nami nareszcie Kabul. Tu czuję się prawie jak w domu. Są znajomi Polacy i wiadome drogi powrotu. Nie możemy znaleźć szybkiego połączenia lotniczego dla Duśki. I widzę, jak obawa i niepokój o Zbyszka miesza się z radością. Skąd ta radość? Jesteśmy przecież w środku świata bazarów pełnych bajkowo kolorowych strojów, skór i futer, cudacznych świecidełek i biżuterii z półszlachetnych kamieni, pachnidłał przyprawiających o zawrót głowy. Duśka wie, że być może nie wróci tu już nigdy i cieszy się w skrytości ducha, że jeszcze nie żegna się ze Wschodem.

18 października odlatuje do Moskwy, stamtąd do Warszawy. Czekając na samochód wyprawy, pozostaję z Jaśkiem wciąż bez pieniędzy i żywności. Oczekiwanie trwa dwa tygodnie. Codziennie zaglądamy do hotelu „Intercontinental”, w którym umówiliśmy się z kolegami. Na ulicach wypatrujemy znajomego samochodu.

W Kabulu zwiedzamy wszystko, co tylko można zwiedzić, docieramy nawet do podmiejskich miejscowości, ale na dłuższe wycieczki nie możemy sobie pozwolić.

Po długich dniach oczekiwania wreszcie zjawia się ciężarówka wyprawowa. Zabieramy co nasze do fiata, jeszcze raz żegnamy się z kolegami i ruszamy w drogę. Od czasu do czasu wspominamy Duškę, zastanawiając się, co było przyczyną wysłania telegramu.

Po dwunastu dniach jazdy jesteśmy w Monachium. Czekają na nas listy od Duśki. Rzucam się nań gorączkowo. Może nareszcie dowiemy się, co stało się w Polsce? A Duśka ze spokojem pisze, co mam zabrać z Monachium, gdzie są sznurówki, jakieś bzdurne drobiazgi, przyprawy – słowem, lista rzeczy do zabrania, spraw do załatwienia i... ani słowa wyjaśnienia.

Po powrocie do kraju okazało się, że to stęskniony mąż wysłał telegram! A gdy robiłam mu wyrzuty, że niepotrzebnie stawaliśmy na głowach, by jak najszybciej wyekspediować jego żonę do kraju, Zbyszek ze spokojem odrzekł:

– Liczyłem, że właśnie w ten sposób postąpię.